Nr. 8. Kraków, 1 Września 1891 r. Rok I.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi w Krakowie:
rocznie . . . 7 złr. 20 centów
kwartalnie . 1 „ 80 „
miesięcznie . — „ 60 „
Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie 5 ct.
Numer pojedynczy kosztuje 30 ct.
Rękopismów drobnych nie zwraca się.

MYŚL

Prenumerata na prowincyi i w całej Monarchii Austro-Węgierskiej wynosi: rocznie 8 złr. — ct., kwart. 2 złr. — ct.
W Niemczech: rocznie 16 m., pół rocznie 8 m., kwartal. 4 m.
We Francyi: rocznie 20 franków, kwartalnie 5 fran.
Ogłoszenia i reklamy przyjmuje Administracya „MYŚLI“ po 10 ct. za wiersz petitem lub jego miejsce za pierwszy raz, a po 5 ct. za następne.

Redakcya i Administracya znajdują się w Krakowie przy ulicy Zielonej L. 8, gdzie też uprasza się nadsyłać wszelkie przekazy i pisma. — Prenumeratę przyjmują również na miejscu wszystkie księgarnie, we Lwowie zaś: Skład główny w księgarni Seyfartha i Czajkowskiego. —

OD WYDAWNICTWA.

Przypominamy naszym kwartalnym przedpłacicielom, że czas odnowić prenumeratę, dla uniknięcia przerwy w otrzymywaniu pisma.

PAMIĘCI MICKIEWICZA. *)

(Przełożył z czeskiego Ludwik Kozłowski).

Nieszczęśliwą już, rozdartą była Polska cała!..
Trójka sępów w krwawe szmaty ciało jej szarpała...
Wawel pusty... Rozgłos sławy zgłuszył bólu jęk...
Ojciec — próżno woła synów, męża płacze żona...
Grobem zda się Ostrołęka, kośćmi ubielona...
Kosynjerów pieśni nie brzmią... ucichł broni szczęk...

Polska zmarła!.. Polska w grobie!!.. Ciemno, głucho wszędzie!..
O, Królowo! Zaliż tron twój wiecznie w gruzach będzie?..
Nie!.. Bo oto ciszę przerwał Mickiewicza głos!..
Serc Sarmackich dawne tętna — ufność w własne siły,
Zapał, męstwo, co Polaków hasłem zawsze były
Adamowej wielkiej pieśni wskrzesić kazał los!..

Jak psalm żalu, jak Eola lutni smętne tony,
Tak surowo, tak poważnie brzmi Twój rym natchniony!..
Jęk rozpaczy, rezygnacji boleść, dumy gniew,
Zagrobowe szepty „Dziadów“, „Wallenroda“ męki,
Z pióra w krwi umaczanego płyną z pod Twej ręki, —
I już żyje duch wolności — zbudził go Twój śpiew!..

O Adamie, Ty, największy duchu wszystkich Słowian!..
Lud Twój wierzy w przyszłość lepszą, pieśnią Twoją owian!..
Chwałą Polski świat rozbrzmiewa... znikła grobu pleśń...
„Nie dział grzmotem, nie krwi dymem, ani chrzęstem broni,
„Jeno ducha siłą, która cały świat osłoni,
„Przyszła Polska zapanuje“ — tak Twa mówi pieśń!..

O Adamie! Z wiarą w piersi, z łzą wdzięczności w oku,
Świetnych kaskad rymów Twoich, rwących słów potoku
Łaknie, jak anielskich pieni, całej Polski słuch!..
Twoja „Oda do młodości“ młódź ku czynom budzi,
Twe „Sonety“ życie leją w pierś zastygłą ludzi,
W Twej „Grażynie“, „Tadeuszu“, siłę czerpie duch!..

O Adamie! Nam, znikomym, skąd wziąść słów podzięki
Za roskosze, jakie mamy z Twej półboskiej ręki?..
Jakiem kwieciem wieńczyć Twoją nieśmiertelną skroń,
Gdy dla Ciebie małą, małą jest korona Króli?..
Więc — do grobu Twego niemy każdy z nas się tuli,
Bo Twój duch — to taka siła jak Herkula dłoń!..

O Ty, orle, bohaterze, Ty polski Messyjo!..
Oto widzę, jak anioły wieńce Tobie wiją...
Oto słyszę przy Twym grobie skrzydeł srebrnych szum:
Bratni pocałunek kładą na Twem czole chłodnem
I nad Twojem ciałem zimnem, lecz aniołów godnem,
Śpiewa boskie „Alleluja“ czystych duchów tłum!..

Więc „Hosanna“, wieczna chwała Tobie, Polski dziecię!..
Łaskę Boga dla Twych braci Ty ubłagasz przecie,
Sprawisz, że znów będzie silnym i zwycięskim Lech, —
A żyć będziesz wiecznie w sercach, czczących Twoje cnoty
I Twe pieśni wiecznie będziem chować jak klejnoty!..
Chwała Tobie! — woła zgodnie i Polak i Czech!!..

*) Wiersz ten (niewiadomego autora) w przekładzie bardzo wiernym, podajemy, jako nowy przyczynek do dowodów, że między Czechami, pomawianymi tak często o moskalofilstwo, są duchy, szczerze przyjazne Polakom i czczące nasze narodowe świętości. *(Przyp. Red.)*

PSYCHOLOGIA NA KONGRESIE KRAKOWSKIM.

I.

Niedawno ukończony VI zjazd przyrodników i lekarzy polskich winien być stanowczo zaliczonym do udanych. Ilość uczestników była bardzo znaczną — przeszło 800 —, interes, który referaty wzbudzały w poszczególnych sekcyach, żywym, obfita i piękna wystawa przyrodniczo-lekarska okazała, że produkcya nasza na tem polu nie jest bynajmniej małą, a nawet, jeżeli uwzględnimy wyjątkowo nieprzyjazne warunki, w jakich się nasz naród znajduje, nazwać ją wypadnie znaczną. Jako trwalszą pamiątkę po sobie, zjazd pozostawił, głównie dzięki energicznej inicyatywie p. Dicksteina, zawiązek muzeum wynalazków polskich. Jeżeli zaś przyjdzie do skutku wyrażony przez pana Jana Karłowicza w formie wniosku projekt dopuszczenia kobiet do słuchania wykładów na wydziale filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego (cf. art. wst. w Nrze 6-ym „Myśli“), to będzie to bodaj najdonioślejszy i najpłodniejszy w następstwa z rezultatów zjazdu. Otwarty wykładem prof. Baranowskiego o metodach przyrodniczych w badaniu klinicznem, zjazd został zamknięty pięknym odczytem p. Mahrburga: „O psychologii i stano-

wisku jej w systemie wiedzy", rzeczą istotnie naukowo wartościową i godną najbardziej doborowego zgromadzenia naukowego.

Różnica w organizacyi ostatniego zjazdu od poprzedzających polegała na tem, że pomiędzy jego przyrodniczemi sekcyami znajdowała się i sekcya psychologiczna. Właśnie ta okoliczność dała p. Mahrburgowi asumpt do wygłoszenia jego odczytu. Chodziło o zameldowanie naukowemu światu polskiemu przybywającego do szeregu „nowego towarzysza broni", o wyjaśnienie, „co zacz jest, z czem przychodzi i jakie ma zamiary." Jakoż istotnie przedstawił w sposób zarówno treściwy i zwięzły, jak ścisły i jasny, punkty wyjścia, zadania i metody psychologii, a nawet znalazł miejsce na naszkicowanie jej ewolucyi historycznej. Opowiedział, jak psychologia, pojmowana pierwiastkowo, jako nauka o istocie i atrybutach duszy, wpleciona w koło wielkich systemów metafizycznych i zmuszona do dźwigania odpowiedzialności za wszystkie ich konsekwencye, stopniowo wyzbywała się cech, kwalifikujących ją do metafizyki, aż się stała tem, czem jest dzisiaj — nauką o zjawiskach, zwanych psychicznemi, t. j. takich, które są stanami świadomości, nauką, odnoszącą się do swego przedmiotu tak, jak każda z nauk przyrodniczych odnosi się do swego — ze strony zjawiskowej, fenomenalnej i używającą metody przyrodniczej. Wykazał, że dopiero od czasu tej reformy i dzięki jej, psychologia uczyniła istotne postępy i porobiła cenne zdobycze. Słowem, scharakteryzował psychologię równie trafnie i dosadnie, jak, pomimo szczupłych rozmiarów odczytu, wyczerpująco. Poszedł tylko, zdaniem naszem za daleko, twierdząc, że zjawiska psychiczne są funkcyą nieodwracalną biologicznych, tak samo, jak te ostatnie — funkcyą nieodwracalną mechanicznych. Nietylko znane dotychczas w nauce fakty nie upoważniają do takiego twierdzenia, ale nawet przeciwnie, badania zjawisk t zw. poddawczości (*suggéstibilité*) dostarczają sporo faktów, zdających się stwierdzać stosunek zależności w z a j e m n e j pomiędzy organizmem fizyologicznym a psychicznym. Odczyt ten, wypowiedziany pięknym językiem i w sposób, dobrze świadczący o talencie oratorskim prelegenta, wzbudził żywy interes i wywołał gorące objawy uznania.

Przebieg obrad sekcyj lekarskich i przyrodniczych zjazdu, niezależnie od tego, że na żadnej z nich nie brakło referatów interesujących i wartościowych, nie może dla szerszej publiczności przedstawiać interesu; są to rzeczy zbyt specyalne. Natomiast, ogólniejszy interes przedstawia nowa sekcya psychologiczna; jednym z dowodów tego było przez cały czas trwania zjazdu liczne jej odwiedzanie przez publiczność. Ogólniejszy interes przedstawia ona nietylko dlatego, że przedmiot jest ogólniejszym i przystępniejszym, ale i dlatego także, że filozofia polska (cf. N. 5 „Myśli", art. o sekcyi psychol.) poraz pierwszy reprezentowaną była na zjeździe.

Niektórzy z patentowanych, jeżeli się tak można wyrazić, przedstawicieli filozofii polskiej usunęli się od udziału w zjeździe, będąc do sekcyi psychologicznej z góry źle uprzedzonymi. Najważniejszą przyczyną tego uprzedzenia był prawdopodobnie sam fakt, że sekcya psychologiczna zaliczoną została do przyrodniczych. Przypuszczano, że to samo wpłynie już stanowczo na pozbawienie jej charakteru filozoficznego. Przypuszczano także — bądźmy otwarci, — że taka sekcya psychologiczna ujawni tendencye materyalistyczne.

(Dok. nast.).

Maryan Massonius.

ELIZA ORZESZKOWA

STUDYUM

PRZEZ

J. NITOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Natomiast drugą połowę świata korczyńskiego stanowią ludzie, zupełnie różni od poprzednich. Są to ludzie przyszłości, pojmujący lub odczuwający istotne potrzeby społeczne. Ludzie ci pociągają za sobą takich, którzy dla braku ducha inicyatywy i odwagi niezdolni są wystąpić o własnej sile z zaczarowanego koła przesądów, lub takich, którzy, jak Benedykt Korczyński, niegdyś żyli pełnem życiem, ale pod wpływem trosk codziennych zobojętnieli i dali za wygrane ideałom, za które bojowali przed laty.

Takimi ludźmi nowej epoki jest Justyna i syn Benedykta, student uniwersytetu Witold, którego można w rzeczywistości uważać za spadkobiercę niejako przekonać stryja Andrzeja. Młody jeszcze, przesiąkły na wskróś nowemi ideami, z zapałem rwie się do życia czynnego i usiłuje jaknajszybciej teorye swoje urzeczywistnić w praktycznem zastosowaniu. Jest on, zapewne, niewyrobiony jeszcze, istotnych potrzeb społeczeństwa i warunków, wśród których żyje, nie miał czasu zbadać i rozpatrzyć we wszystkich szczegółach i jasno sformułować sobie; stąd występuje bardziej jasno frazeolog, niż człowiek czynu, ale też od młodzieńca, co siedzi jeszcze na ławie szkolnej, trudno wymagać czegoś więcej. Jest to dopiero materyał, z którego przyszłość urobi zacnego i pożytecznego członka społeczeństwa. Tymczasem jest on, że się tak wyrażę, książkowym demokratą, który atoli przy pierwszem swem wystąpieniu zdołał już wpłynąć na zmianę usposobień ojca względem szlachty zaściankowej, rozbudzić w nim uśpione uczucia i tem samem położyć podwaliny do przyszłej zgody obu stanów. Znacznie różnym typem od Witolda jest Justyna Orzelska, uosabiająca razem z Janem Bohaterowiczem główną ideę powieści. Nie posiadając tyle teoretycznego wykształcenia, ile go ma młody Korczyński, przewyższa go natomiast rozwagą i zdrowym racyonalnym poglądem na rzeczy. Doświadczenie, nabyte w ciągu życia, upokarzające zakończenie stosunku miłosnego z Zygmuntem, który jej za pierwszą prawdziwą miłość odpłacał miłostkami, uważając małżeństwo z dziewczyną ubogą i lekceważoną przez swą rodzinę za mezalians, wreszcie pełny dotkliwych upokorzeń pobyt jej w domu Korczyńskiego na łasce opiekuna — to wszystko uczyniło z niej wcześnie kobietę dojrzałą, która, poznawszy nowy a nieznany sobie dotychczas świat pracy i uczuć zacnych, choć szorstki i pozbawiony oświaty, przeniosła go nad duszącą i pustą atmosferę salonową. Justyna, wychodząc za Bohatyrowicza, nie czyni tego bez głębszej rozwagi pod wpływem chwilowego usposobienia; przeciwnie: zdaje sobie jasno sprawę ze swego kroku i wie dokładnie jaką sobie przyszłość wytwarza. Poznawszy bliżej ludzi z zaścianka szlacheckiego, ze zdumieniem odnajduje w ich piersiach ogromne pokłady uczuć zacniejszych, rodzących z jednej strony cześć dla tradycyi, z drugiej — silne niczem niezachwiane przywiązanie do ojczystego kawałka ziemi. Podczas dwóch wycieczek, z Janem Bohatyrowiczem odbytych do grobu „Jana i Cecylii" i na „Mogiłę", poznaje dokładnie wyższość tych ludzi prostych nad tymi, wśród których żyła dotychczas. Justyna usiłuje zdać sobie sprawę z różnicy, jaka zachodzi między temi dwiema sferami społecznemi i dochodzi do wniosku, że w istocie rzeczy polega ona bardziej na formach, niż na treści, a jeśli pod względem umysłowego wykształcenia stoją ci ludzie z zaścianka niezaprzeczenie dość nisko, to przecież i ona niewiele posiada nauki, a tem, co posiada, chętnie podzieli się z nimi „aby im trochę widniej, jaśniej i weselej było". Justyna, jak

i Anna w „Rodzinie Brochwiczów“, pojmuje dokładnie zadanie kobiety, konieczność pracy i potrzebę ofiary w imię obowiązku. Obie te kobiety nie rozprawiają, nie rzucają w koło szumnemi frazesami o postępie, nie występują jako propagatorki usamowolnienia płci swojej — ale kochają i pracują na stanowisku, jakie im los zakreślił, pracują z zupełną świadomością pożyteczności swej pracy; obie też stanowią dwa najpiękniejsze dodatnie typy „kobiet — emancypantek“ w powieściach Orzeszkowej.

Drugi świat, występujący w powieści „Nad Niemnem“, składa się z ubogiej, pracującej na roli szlachty zaściankowej, z której na pierwszym planie stoją Bohatyrowicze: Fabian, zawzięty procesowicz, występujący najczynniej przeciw Benedyktowi i ciągle podbudzający szlachtę do nieustannych procesów o ziemię; Anzelm, piękna postać starca, żyjącego wspomnieniem płodnej w świetne nadzieje przeszłości, współtowarzysz Andrzeja Korczyńskiego, i wreszcie syn nieżyjącego Jerzego: Jan Bohatyrowicz, kochający Justynę całą siłą uczucia młodzieńczego i nieskalanego tchem wielkiego świata. Obok nich występuje cały zastęp szlachty płci obojga, zdjęty z natury przez autorkę z fotograficzną dokładnością, a opromieniony tchnieniem poezyi prawdziwej. Ludzie ci, jak wogóle ludzie wszyscy, do różnych warstw społecznych należący, mają bezwątpienia swoje wady, na które autorka bynajmniej nie zamyka oczu; maluje ich takimi, jakimi są w rzeczywistości, zstępując przytem do głębin ich ducha i wydobywając stamtąd ukryte dla zwykłego oka i osłonięte grubą powłoką szorstkich obyczajów, cenne skarby uczuć. Świat to ludzi prostych, niewykształconych wprawdzie, ale pracujących i nie skażonych trądem pseudo-cywilizacyi, ludzi z piersią, pełną sił i ognia, ludzi zdrowych fizycznie i duchowo.

W sferę takich ludzi wchodzi Justyna i powtórnie wyciąga ku nim dłoń przyjazną Benedykt Korczyński; obie warstwy społeczne łączą się znowu, jak to przed laty było, a węzłem zacieśniającym ten związek, gruntem wspólnym, na którym połączenie to następuje, jest owa wielka idea, za którą dał życie i Andrzej Korczyński i Jerzy Bohatyrowicz. Duchy obu tych mężów unoszą się niewidomie nad żyjącymi i podtrzymują w potomkach ów ogień święty, co ongi za życia piersi im rozpalał. U niektórych, jak np. u Benedykta lub Anzelma troski życiowe stłumiły go, ale nie zagasiły; dość było chwili przyjaźniejszej, aby, jak niegdyś, zapłonął.

W Rodzinie Brochwiczów poruszoną kwestyę utrzymania własności ziemskiej widzimy nierozwiązaną właściwie, bowiem jedni, silni i energiczni, jak Stefan Sieciński, chwytają się innych środków pracy, przechodzą na inne pole, np. handlu, drudzy zaś, których wyobrazicielem jest Maryan Brochwicz, nie wierzą w przyszłość, opuszczają ręce przed czasem i w hulankach usiłują stłumić w sobie ostatni głos sumienia, wyrzucający im opuszczone stanowisko. A gdzież są ci, co, zrozumiawszy nowe wymagania czasu i nauczywszy się stosować do nich, wszystko przetrwają i zostaną tam, gdzie byli? Odpowiedź na to znajdujemy w powieści „Nad Niemnem“, którą pod tym względem należy uważać za dopełnienie „Rodziny Brochwiczów“.

Jako całość pod względem artystycznym powieść „Nad Niemnem“ stoi wyżej od „Rodziny Brochwiczów“ i bezwątpienia zajmuje naczelne miejsce we wszystkich dotychczasowych pracach Orzeszkowej, a może nawet i we wszystkich obyczajowych powieściach naszej literatury nadobnej.

Widzimy tu bowiem odbicie najważniejszej integralnej części naszego społeczeństwa, tj. szlachty wolnej, oddanej ze wszystkiemi jej zaletami i wadami; widzimy tu nietylko pewne warstwy ale poniekąd i pokolenia, mamy przed sobą z doskonałą plastyką skreślone nietylko charaktery osób pojedyńczych, ale i charakter, zwyczaje i wybitniejsze cechy ogółu samego, a obok tego wiele pięknych pojedyńczych epizodów. Powieść ta, jak również i „Rodzina Brochwiczów“, skupiając w sobie najważniejsze kwestye bytu społeczn go, najżywotniejsze idee, najświętsze uczucia, będąc przytem kunsztownem odbiciem najważniejszych cech społeczeństwa, przetrwają w całej swej sile i świeżości długie lata, nie tracąc nic bynajmniej na dzisiejszej wartości swojej.

Wśród wielu rozmaitych objawów życia społecznego, znajdujących odbicie swoje w powieściach Orzeszkowej, kwestya żydowska, obok trzech powyżej rozpatrzonych kwestyj: kobiecej, wychowania i obywatelskiej, zajmuje również dość wybitne miejsce. Mamy do tej kategoryi należące, oprócz kilku drobnych nowelek, jak np. „Gedali“, „Silny Samson“ i „Daj kwiatek“ dwie obszerniejsze powieści: „Eli Makower“, i „Meir Ezofowicz“, a obok tego jedną rozprawę p. t.: „O żydach i kwestyi żydowskiej“, specyalnie temu przedmiotowi poświęconą. Praca ta, aczkolwiek pobieżnie traktuje przedmiot i nie wyczerpuje go należycie, jednakże ważną jest z tego względu, że zawiera w sobie jasno wyłożone zasadnicze poglądy autorki na tę kwestyę. Orzeszkowa w poglądach swych na sprawę żydowską staje na stanowisku czysto objektywnem, jako sędzia bezstronny, zwracający uwagę nietylko na same zjawiska, ale i na towarzyszące im okoliczności Przedewszystkiem w pracy swej o żydach zastanawia się nad znaczeniem i słusznością zarzutów, czynionych przez ogół nasz żydom. Wszystkie te zarzuty trojakiej w ogóle bywają natury: 1) chęć wyzysku i oszustwo, którego ofiarą staje się ogół chrześcian łatwowiernych i nieostrożnych, 2) pycha i arogancya w połączeniu z głupotą zbogaconych Geldhabów i nakoniec 3) odrębność rasowa, wyrażająca się w stroju, religii i języku. Co się tyczy dwóch pierwszych zarzutów, zwraca autorka uwagę na to, że nietylko żydów wyłącznie obciążać niemi należy; wszak i wśród naszego społeczeństwa i wśród innych narodów europejskich spotykamy się dość często nietylko z niesumiennością w handlu, polegającą na używaniu najrozmaitszych nieuczciwych środków, ale widzimy tamże niemałą ilość przykładów najobrzydliwszego wyzysku w rozmaitych formach, i to nietylko w handlu, ale w wielu innych zawodach. Zupełnie tak samo śmiesznem byłoby twierdzenie, że tylko wśród żydów wzbogacone jednostki stają się Geldhabami; typy takie właściwe są wszelkim narodowościom i wszędzie się znajdują; Molierowski Jourdain jest zupełnie podobny do Fredrowskiego Geldhaba, jakkolwiek należy do jednego z najucywilizowańszych narodów. Skoro więc o podobne wady obwiniamy żydów, obwiniajmy także i inne narody europejskie i siebie samych. Trzeci natomiast zarzut, tyczący się odrębności narodowej, nie pozwalającej żydom zrozumieć interesów ogółu, wśród którego żyją, brać w nich żywego udziału i przejąć się ideami kraju, który stał się dla nich drugą ojczyzną — jest w istocie najzupełniej słuszny.

Że Orzeszkowa doskonale zrozumiała rolę, jaką wobec nas odgrywają żydzi, i że nie zamknęła oczu na ich wady i szkody, które naszemu społeczeństwu wyrządzają, świadczy dokładnie „Eli Makower“, jedyna jej powieść, odzwierciedlająca stosunki, zachodzące między nimi, a obywatelstwem wiejskiem.

(C. d. n.)

WOLNE MYŚLI

(FEJLETON).

VII.

Nikt nie był większym odemnie przeciwnikiem znacznej części jubileuszów literackich. Znakomity powieściopisarz, historyk, poeta, dramaturg, pracował lat 50 lub choćby 40 na niwie literackiej, pozostawił wybitne płody swej działalności — trzeba mu więc wyprawić jubileusz! Zgoda, zupełna zgoda! Mniej już godziłem się na jubileusze 35-letnie,

ale w wielu razach sam do ich urządzenia pomagałem, jeżeli— jeżeli, jak wyżej, oddawano hołd znakomitemu powieściopisarzowi, historykowi, poecie, dramaturgowi....

Ale dlaczego? na co? po co? zkąd? z jakiej racyi? cui bono? obchodzić 25-tą rocznicę całego rodu Gryzmolskich, o których pamięć zaginie w trzy dni po śmierci, ludzi bez wybitnych zdolności, literatów średniej miary, poetów po 5 centów od wiersza, dramaturgów od trzech przedstawień, powieściopisarzy od zapychania łam drugorzędnych czasopism, dziejopisarzy jakiegoś miasteczka lub powiatu... Takich jubileuszów byłem zawsze gwałtownym przeciwnikiem, choć nasuwało mi się na myśl przysłowie: jaką miarką mierzysz, taką i tobie będzie odmierzono. Mniejsza o to, — rezygnowałem z własnegu jubileuszu.

Żartowałem więc sobie gdzie mogłem z „naszych znakomitych niedouczonych“, z „jubilatów od siedmiu boleści“, z 25-lecia „szaradników“ i poetów „od powinszowań noworocznych dla kominiarzy“, słowem wylewałem dość żółci na kapłonów literackich i na kury-literatki, znoszące jaja bez żółtek. Trwało to dość długo, aż....

Aż spotkałem się pewnego razu po długich latach niewidzenia z Bronkiem, pół-kolegą z gimnazyum (chodził o dwie klasy wyżej) i następnie kolegą po piórze.

Znaliście państwo Bronka? Nie? — to szkoda, bo był to przed laty kilkunastu „chłop“ szczery, wesoły, przyjaciel nietylko tych, którym się dobrze wiodło, głowa trochę zapalona, idealista, romantyk, wierzący w zwycięstwo cnoty i prawa, — ot! naiwny człowieczyna, ale dusza prosta, choć go przyłóż do rany....

Takim na świecie nie dzieje się dobrze. Przepchał się jakoś przez uniwersytet, miał zostać adwokatem, ale gdzie mu było do prawowania się, procesowania, do replik, duplik i suplik, kiedy zakochał się w Mani (złote to było stworzenie) i przypomniawszy sobie, że za studenckich czasów bawił się piórem i łowił rymy, zaczął pisać do niej wiersze. Ludzkie wyobrażenie przechodzi, czego od niej w tych wierszach nie wymagał. Dzisiejsi poeci proszą na klęczkach o całus, o uścisk dłoni, pragną „choć raz spocząć na śnieżnem łonie“, — Bronek natomiast sięgał w sfery ideałów. „Bądź obywatelką! — wołał, — kształć bohaterów, życie oddaj dla dobra ogółu, bądź ołtarzem ofiarnym, opoką z granitu“, i tak dalej, i tak dalej, — a wtedy

O bądź pewną jedyna, że z schylonem czołem
Do stóp twoich upadnę, o czysta! o biała!
Nazwę ciebie boginią, niebianką, aniołem,
Wzorem niewiast sarmatek, Polką z krwi i ciała....

Mania (złote to było stworzenie), czytała wiersze Bronka, płakała często nad niemi, ale niewiele ich rozumiała. Za to zrozumiała dobrze, kiedy się oświadczył o jej rękę, i zapłoniona, drżąca, schyliła złotowłosą główkę na jego piersi. Bronek miał kilka tysięcy po rodzicach i wielkie na przyszłość nadzieje w powodzeniu literackiem, ona oprócz urody otrzymała w spadku po matce dobroć i uczciwość, nic więc im nie przeszkadzało, aby powtórzyć przed ołtarzem przysięgi miłosne. Ksiądz Teofil palnął na ślubie mówkę, w której między innemi wspomniał o Bismarcku i jego ówczesnej polityce anti-kościelnej, — nareszcie skończył, pobłogosławił, państwo młodzi pojechali do domu.

Po dziewięciu miesiącach, jak Pan Bóg przykazał, zakwilił Jaś w kolebce, po dwóch latach ujrzała po raz pierwszy świat Boży Zosia, później jeszcze przybyli do ich towarzystwa Władzio, Zygmuś i Władeczka. I byłoby dużo szczęścia w trzech niewielkich pokoikach na przedmieściu, gdyby zarówno z błogosławieństwem Bożem wchodziła w dom zamożność, a przynajmniej utrzymał się w nim dostatek.

Ale Bronek nie miał szczęścia. Wprawdzie drukowano tu i owdzie jego wierszyki i artykuły, nawet Kraszewski pochwalił go w „Biesiadzie“, ale to wystarczało zaledwie na skromne utrzymanie, a Bronek gwałtem chciał dzieciom na wszelki wypadek jaki-taki byt zapewnić. Wdał się więc w spółkę z bardzo porządnym, przez wszystkich chwalonym przedsiębiorcą, włożył w „interes“ skromny swój mająteczek i bardzo porządny przedsiębiorca prędko go przekonał o lekkości papierów publicznych. Rozstał się z nim przyjaźnie, do ostatka wierząc w jego dobre chęci i zaraz począł „interes“ prowadzić. Nieporadnego, mało obrotnego, wyzyskiwał kto chciał: kradł go buchalter, pomocnik, okradał stróż i chłopcy do posyłek. Rosły długi, wekslami pokój można było wylepić, a interes szedł coraz gorzej. To jeszcze nic, ale przy nudnej codziennej robocie, mało miał czasu do zarabiania piórem, co mogło egzystencyą jego znośną uczynić.

Po kilku latach śmiertelnych z losem zapasów, dał pokój wszelkim przedsiębiorstwom. Ale to było już zapóźno. Po zrealizowaniu „interesu“, pozostało mu jeszcze kilka tysięcy długów, od których należało opłacać dość wysokie procenta.

Szczęściem Bronek miał zawsze pełno wiary, pełno nadziei. Nie upadł na duchu, zaczął pisać gorączkowo. Ale pisanie od wiersza, to praca nużąca i wyniszczająca. Nie takich jak on zdolności ludzie zatracili na polu dziennikarskiem iskrę Bożą. Każ czystej krwi arabczykowi kierat obracać, a darmo później byś żądał mieć z niego wyścigowca.

Zdobył się raz na „popełnienie“ powieści; obszedł pięć redakcyj i wszędzie mu powiedziano, że jest za krótka. Napisał parę nowelek i w tych samych redakcyach uznano, że są za długie. Wziął się nawet do dramatu, ale kolega go zapewnił, że utworowi brak sceniczności, a dramatów żadne pismo drukować nie chce. A więc zaczął opisywać zbrodnię na ulicy Ślizkiej, pożar na Zielonej, pisał wiersze „Do niej“, „O niej“, „Przy niej“, „Z nią“, „Dla niej“, streszczał ciekawsze artykuły prasy zagranicznej, opisywał wspaniałą grę Pietrzykowskiej w „Ojcu trzech zbrodniarzy“, zasilał nawet pisma humorystyczne niehumorystycznemi artykulikami, słowem co mógł to czynił, aby zarobić na kawałek chleba dla siebie, żony, pięciorga dorobku i zamorusanej Magdy.

Ciężko to było. Płacono mu niewiele, połowy nie drukowano. Zerwał z ludźmi, nie bywał u nikogo. Mania sama „materyał“ kupowała i szyła mu żakiety, kamizelki i „wstydliwości“ w kratkę lub paski. Mieszkał wtedy pono w dwóch pokoikach na trzeciem piętrze od tyłu, za które płacił tylko sto rubli rocznie, gdyż się zajmował administracyą kamienicy. Byłby się i tak może wygrzebał, gdyby nie procenta od długów. Ale był ambitny. „Nie chcę skrzywdzić nikogo“, mówił, i niósł grosz ciężko zapracowany na opłatę procentu, choć buty się rozchodziły, a Zygmusia spodeńki nie zakrywały połowy łydek.

Czy dalej opowiadać smutne dzieje? Lepiej dać pokój. I tak ciężko na świecie, — po co kłopotami cudzymi zabijać sobie głowę. Precz z biedakami i nędzarzami, — niech przepadają w walce o byt, kiedy są słabi i za mało mają sprytu.

Dość, że Bronek zbladł, zmizerniał, schudł, a choć do czterdziestki miał jeszcze kilka lat przed sobą, białe włosy coraz więcej srebrzyły jego brodę i włosy. Od czasu do czasu zapadał na zdrowiu, kaszlał, skarżył się na ból głowy i piersi. Doktorzy kazali mu jechać to do Szczawnicy, to do Gleichenbergu, to choćby na letnie mieszkanie. „Powinieneś się dobrze odżywiać, mało pracować“, mówił mu jego kolega szkolny dr. Wewnętrzny. Bronek uśmiechał się smutnie, dziękował za radę — i pracował jeszcze szczerzej, jadł jeszcze gorzej, bo dwoje dzieci chodziło już do szkoły, wydatki się zwiększyły, trzeba było opłacać gimnazyum, kupować książki i mundurki....

Spotkałem go właśnie w tym czasie, bawiąc przez czas jakiś w Warszawie. Byłbym go nie poznał, gdyby mnie sam nie zaczepił na ulicy, tak się zmienił i zestarzał. Ściskał mnie nerwowo, gorączkowo, jak ktoś, co po kilkunastu latach

spędzonych na obcej ziemi, ujrzy po raz pierwszy starego przyjaciela rodaka i usłyszy brzmienie słów ojczystych. Prawda, żeśmy się znali i przyjaźnili w tych czasach, które się „lepszemi“ nazywa.

Hałas i gwar uliczny nie pozwolił wieść nam swobodnie rozmowy. Poszliśmy więc do Łazienek i na ustronnej ławeczce gwarzyliśmy o naszych pracach, marzeniach, a potem o naszych mieszkaniach, obiadach i butach. Bo wierzajcie mi, że na dzieje ludzkiego życia w $^9/_{10}$ składają się te prozaiczne przedmioty. Często para trzewików kryje w sobie tragedyą, często za pomocą dramatu zdobywa się zraz pieczeni.

Ściemniło się, kiedyśmy opuścili Łazienki. Przyznam się, że byłem zmęczony i rozstrojony. Przez dwie godziny słuchać o cudzych zawodach i boleściach, to nieco za wiele. Żal mi było Bronka, ale miałem jakby pewną urazę do niego za to, że był biedny, nieszczęśliwy i chory....

Już mieliśmy się żegnać, kiedy Bronek z widocznem zakłopotaniem prosił mnie jeszcze o chwilkę rozmowy.

Mam prośbę do ciebie, — mówił — wielką prośbę. Oto (głos mu drżał i z trudem wydobywał słowa) — oto.... w tym roku kończy się 25 lat mojego literackiego zawodu....

(Dok. nast.)

K. Bartoszewicz.

HENRYK IBSEN W OSTATNIM SWYM DRAMACIE.

II.

Ostatnie słowo dramatu, wyszłe z ust pół-omdlałego Bracka, brzmi:

— Ależ, na miłość Boga, nie r o b i się podobnych rzeczy!

Czasownik podkreślony jest przez samego autora, albowiem w Bracku Ibsen ironicznie wypowiada morał pospolitego gminu, duchowego mieszczaństwa, w przeciwieństwie do morału Heddy, którym jest c z y n.

Jeszcze w drugim akcie mówi ona do Lövborga.

— Jeślim wtedy nie mogła pana zastrzelić, to nie było to największe moje tchórzostwo owego wieczoru.

To znaczy, że właściwie powinna była s o b i e życie odebrać. Miała ona wtedy na twarzy maskę zimnej przyjaciółki i wydobyła z Eilerta pewne zeznania na temat jego lat młodzieńczych, tak snadź bolesne dla jej uczucia własności wyłącznej, niepodzielnej, że ją rozjuszyły, po prostu, i w szale swego gniewu zerwała z nim.

Teraz wszystko zostało naprawione. Owe *l'irriparable*, katusza nie dającego się odwołać dzieła własnych rąk, o której tak często wspominają Francuzi w swych powieściach, zostało jak gdyby cofnięte, wprawdzie kosztem niemałym, ale cofnięte. Ołowiana kula położyła kres złamanemu życiu, ogień strawił dziecię duchowego — jak sobie pewnie tłumaczyła Hedda — cudzołóztwa.

Czy Heddzie Gabler szło o to, żeby się od męki wykolejonego bytu uwolnić? Nic podobnego. To nie zwyczajna samobójczyni, obłąkana rozpaczą i brakiem wyjścia, ale ibsenowskiego rodzaju, a więc *sui generis* idealistka, która rozumuje, mniej więcej, tak: Życie powinno nam dać szczęście, jeżeli je zepsuje nasz własny fałszywy krok, lub cios wewnątrz spadły, miejmyż odwagę zwinąć interes póki pora, a nie czekać bankructwa zupełnego. Żyjmy tak, jak gdyby to życie było wytworem naszych rąk, rozporządzajmy niem, bądźmy jego panami i niechaj będzie silne i prawdziwe, a my konsekwentni. Skoro ujrzymy, że rachunek zawiódł — czem prędzej — pistolet do czoła! Niechaj nie będzie n i e w o l i w ciągnieniu taczki, do której nie mamy już przekonania, bo taka katorga jest i kłamstwem i słabością i b r z y d o t ą.

Hedda wymaga tego nietylko od siebie ale i od Lövborga. Skoro powstawszy raz z kałuży, nie potrafił iść dalej pewną nogą, zaprzepaścił swoją tak świetnie odnowioną karyerę — więc powinien z życiem rachunki załatwić. „Użyj go pan, mówi Hedda, podając mu tę s a m ą broń, którą niegdyś mu groziła — i użyj go pięknie.

A gdy nareszcie Brack przynosi wiadomość o śmierci, ona mimowoli i nieostrożnie wykrzykuje:

— Przecież raz jakiś czyn!... w tem leży piękno...

Niemcy, którzy od pewnego czasu tak się łaszą Ibsenowi, i wypisują brednie o jego stosunku do germańszczyzny (Leo Berg, *Henrik Ibsen und Germanenthum)* zaczęli kiwać głowami po przeczytaniu H e d d y G a b l e r i nazwali ją, krwawiąc sobie rozczulone dla poety serca, skrajnością, którą tylko wiedza dzieli od niedorzeczności. Tłumacz tego utworu, Wiktor Ottmann, karci go za wynajdywanie „konfliktów, nie będących wcale konfliktami dla człeka normalnego“, za przesadę i że wreszcie wyciąga za włosy różne nadzwyczajne rzeczy. Nie grzało by to nas, ani ziębiło, gdyby owego niemieckiego pacierza nie klepali za panią matką i nasi sprawozdawcy, którym pewnie sam dramat jest obcym, i nie litowali się nad zanikiem talentu.

Cała rzecz, iż Ibsen nie był nigdy dla jednostek normalnych, czyli nazywając rzeczy po imieniu, dla filistrów; nie darmo to nawykłe do togi i koturnów sceny stolic pruskich odmawiały mu gościnności. Filister delektował się tylko jego efektami teatralnemi i masą powikłań, zdarzeń i ruchu, które grubemi splotami, niby pnące się rośliny, pień zakrywały, myśl przewodnią, głęboką, tendencyjną nawskroś. Inaczej byłby wiedział, że to, co go porywa i ogłupia, jest nader mozolną, wymęczoną robotą, że owa wzorowa technika, jest nie tyle tkanką ile plątaniną pomysłów, uwarunkowaną dwiema potrzebami:

Po pierwsze, należało przetopić na fakta myśl całkiem oderwaną, równą niemal systemowi etyki, musi więc być tych momentów, dużego i małego kalibru, wielkie mnóstwo, jeśli ma być we widzu uśpiona czujność, jeśli ma się stać zadość artyzmowi, który, słusznie całkiem, nie znosi tendencyi, wyglądającej ze szpar utworu, jak łokcie z wytarganego surduta.

Powtóre zaś, autorowi wypada odrośle tej samej w gruncie swym idei, albo raczej ideału niespętanej woli, ubrać za każdym razem w inną formę, świeżą, nową, z żywym pulsem.

Z tych oto względów mechanizm, tak zwana faktura sztuk Ibsena, jest i musi być nader złożoną i wymaga od widza przytomności umysłu i nieraz... łatwej wiary. Szczęściem pisarz ten daleko częściej godzi z m o n o t o n i ą swej idei, swoim podkładem tendencyjnym, nerw dramatyczny w najlepszym, ożywczym gatunku oraz prawdziwą poezyę tła.

Ale oto stało się raz, że owa uparta myśl wystąpiła ostrzej jeszcze, niż zwykle, że się zarysowała dobitniej konsekwencya ich, całkiem naturalna i wcale nie tak krańcowa, jak sądzą ludzie rozmiłowani w złotej mierności. Ćwiek rozdarł spowijający go oprząd akcyi, wylazł na wierzch i kłuje ich w oczy. Na tle spokojnego, bezgrzesznego prawie żywota — śmierć! I dla czego, dla jakiegoś tam rękopisu i dlatego, że ktoś zanadto lubuje się w ponczu?

Unde irae...

Ale przegapili ci, zwykle zacietrzewieni a dziś rozczarowani Ibseniści, że ich pół-bóg, ich orakulum bywało już bardziej radykalne, że wspomnimy tylko N o r ę. Kazać kobiecie opuszczać męża i domowe ognisko, dlatego, że w swej niewiedzy lalki i naiwności ptaszęcia, które tylko co samopas uleciało z ciepłego przytulnego gniazdka, położyła na rewersie nie swoje nazwisko i nawet nie dla własnego zysku, to chyba więcej trąci doktryną i tchnie przesadą. No, ale

bohaterka owa miała wdzięk nieopisany, sztuka pstrzyła się miłemi efektami, więc i krzesła i loże i paradyzy nie czuły wcale, że bijąc brawo, oklaskują zasadę moralną, którą gdyby zastosować do widzów, to powinni by byli stracić już nie domowe ogniska, ale nazwiska „porządnych ludzi“.

Ale zarówno etyczny dramat w „Norze“ jak i w „Heddzie Gabler“ jest kryształowo jasny i prawdziwy. Jeno my ludzie moralnie bladzi tej idealnej czystości i prawdy, którą uwziął się głosić Ibsen, nie pojmujemy i potrosze boimy się. Hedde zrobiła dobrze, słuchając głosu siły moralnej i rozumu.

Czy jednak sam poeta nie dał pochopu do niechęci i zarzutów? Owszem — i to w stopniu nie małym, jak wnet zobaczymy.

Jeśli tezy jego (nie bez niesmaku używamy tego wyrazu, pasującego właściwie do mędrkowania Wiktoryna Sardou i Dumasa młodszego) są poważnemi kwestyami życia realnego, to uczucie jest echem romantyzmu. Tacy już są ci synowie fiordów. Chcą poezyą i teatrem zrobić przewrot w pojęciach moralnych, chcą, jak Björnson, ażeby np. młodzieniec szanował swą cnotę, na wzór dziewicy, — patrz dramat Rękawiczka — umieją jak Kielland, zamieniać krew w żyłach swych na płynną ironię dla wszelkiej, bodaj skromnej podłoty, a obok tego bawią się w mgły i tęsknoty romantyczne w światło-cień i fantazyą. Snadź urok Jezajasza Tegnera, Kierkegaarda i tym podobnych nie rozwiał się do tej pory.

Ibsen nie jest pod tym względem lepszy, nawet w miarę starzenia się, coraz chciwiej okłębia się czarodziejskiemi dymami, które w Pani morza tak są gęste, że czytając, dusisz się niemi. A Heddę Gabler narysował w ten sposób, jakgdyby pragnął dogodzić Fryderykowi Schleglowi, Tückowi i całej owej drużynie, co to wypędzała z życia prozę, a czyniła je skoncentrowaną poezyą. Obcując z nią, oczekujemy lada chwilę, od początku do końca, wykrzyku: *Fi donc!* jakie to prozaiczne! No i w rzeczy samej, przychodzi na to kolej, gdy ona krzywi się, że kula trafiła Lövborga w... brzuch. Co za rafinerya dobrego gustu! Tak nawet wyglądany zgon nie zadawala jej, bo nie ma pozy z melodramatu.

Poecie zatarła się pod piórem różnica między tem, co estetyczne a tem co romantyczne. Chciał swą bohaterkę wyposażyć w pierwsze, a nadział ją drugiem aż do śmieszności. Skargi jej kroją na spleen, zemsta — na demoniczność wschodniej hetery, Thaidy lub Kleopatry. Zamienia w popiół dzieło, które ma być chlubą nauki i narodu, i tem samem stanowi już własność ogółu, dla marnej satysfakcyi, by zgryść prostoduszną, głupkowatą, niby — rywalkę. Jaka to ciężka, za włosy ciągniona groza!

W tajemniczym obłoku pływa też przeszłość jej do Lövborga stosunku. Ibsen mógł by był śmiało wyznaczyć sutą nagrodę za rozwiązanie szarady, którą jest ich rozmowa i z pewnością niktby tej nagrody nie dostał. I dyalog z Brackiem, pełen domyślników, przenośni i... braków, i przyjaźń Eilerta z Theą niewyraźnego są rodzaju. Skarżą się Brandes i inni, że pisarz ten coraz więcej lgnie do symbolów, powiedziałbym raczej, że ma on słabość do afektacyi, która sprawia chwilami złudzenie, że się ma przed sobą poetę młodego, niedowarzonego. A owa igraszka z pistoletem czy nie pachnie po prostu niebieską pończoszką sentymentalnej Primuli w „Natur zagadkowych“ Spielhagena?

Są to niewątpliwie pleśniowe gruzełki starości. Gdy je zeskrobać, zostanie Ibsen silny, Ibsen — majster w malowaniu i odgadywaniu charakterów ludzkich, wirtuoz cichej a zjadliwej ironii, którą kąsa, jak żądłem żmii, cały świat obłudników.

Ta sama Hedda Gabler, jeśli odliczyć jej fanfaronadę, będzie typem ciekawym, złożonym i wykradzionym rzeczywistości. Dziś coraz więcej spotykamy kobiet, które jeszcze celu nie mają w życiu, ale zyskały już świadomość swoich praw do szczęścia; odarte ze złudzeń, łakną rozkoszy i owoców zakazanych, ale nie mają jeszcze tyle cywilnej odwagi, by jawnie pod sztandarem wolnej miłości stanąć. Są więc samowolne i łaknące a zarazem ostrożne, przebiegłe i tchórzliwe. Na wszystko się zgodzą, byle nie na skandal. Można grzeszyć po cichutku w ukryciu, jak jedwabnik w kokon się zamknąć, ażeby żywa dusza się o niczem nie dowiedziała, można nosić z sobą szczery wyraz niewinności, być śmiałą, pewną siebie, nawet — bezczelną. „O tak, jestem strasznym tchórzem“, woła Hedda, gdy Brack wspomina o śledztwie, które mogłoby ujawnić jej porozumienie z Lövborgiem. Kłamstwo wyrabia się w ustach łatwiej, niż ślina. Egoizm łaknie rozrywek, dostatków, pięknych cacek.

Krytyk ma zupełne prawo sprawdzać, o ile postacie zajmującej go kreacyi ukazują się i na jawie. Owóż czytelnik baczny wyśledzi wśród nas coś niby parodye Heddy, młode kobiety i panny przemądrzałe, którym miłość łechce nerwy, w których dojrzały popędy samicze na miejsce dawnej, legendowej dziś już naiwności. Wymagają one od życia dużo, a odwagi mają tyle jeno. ile jej zaczerpnąć można z naturalistycznych romansów i z pokus doktryny wolnej miłości. Rzucić w twarz społeczeństwu jego formułki nie potrafią, a wstrząśnień erotycznych łakną. Boją się następstw i rozgłosu, więc są wyrachowane, jak Hedda, oględne, każdy krok zbyt śmiały odwołać gotowe kłamstwem przed tym samym mężczyzną, który z niemi ów krok uczynił. Dziś, uniesione przyjmują jego karesy i komplementy, piją słodycz schadzki platonicznej, jutro opamiętawszy się i przelęknione, śmieją mu się w oczy: czyś pan oszalał, ale ja pana wczoraj nie widziałam! Bo pieszczona ich myśl: to „korzystna partya“, za której tarczą można broić bezpiecznie. Na pół-wykształcone, otaczają się estetyką, ale nie rozumiejąc jej poważnie, wpadają w nabożeństwo dla operetek i cyrków, ślizgawek i koncertów z bigosami, słuchają lekcyj z wielkiem namaszczeniem, ale nauczyciel musi być koniecznie przystojny, wtedy wolno mu wykładać bodaj prawo policyjne.

Daleko lepsze od nich są jeszcze doktrynerki — te przynajmniej mają serce, zapał i charakter.

Hedda Gabler jest jako typ, odkryciem znakomitem; zupełnie podobne uczynił Guy de Maupassant w Naszem sercu; i tam bohaterka składa się z: estetyki, rachuby, epikureizmu, chłodu, silnego instynktu samozachowania. Ale autor francuski jeszcze lepiej zrozumiał nowe pokolenie kobiet, bo kochankę Mariolle'a podniósł i to świadomie do znaczenia typu powszechnego przejściowej naszej doby.

Hedda przewyższa je wszystkie znacznie, bo o całą siłę swą. Odważnie dni swoje przecina, gdy inne gadają dużo o samobójstwie, kokietują niemi, bawią się fotografiami znanych samobójczyń i wreszcie idą — do małego teatru na „Bettinę“ lub „Pierścień rodzinny“.

Niemniej, wyśmienitym, choć nie nowym, typem jest mąż jej Tesman. Marzy o katedrze, bo mu ona da utrzymanie, odbywa podróż poślubną według Bedeckera, pisze rozprawę o „Przemyśle koronczarskim w wiekach średnich“ i okrutnie dziwi się, że Lövborg pisze o „potęgach cywilizacyjnych przyszłości“.

— O przyszłości — woła osłupiały — ależ my o niej nic nie wiemy!

Nie potrafi nawet zazdrościć laurów Lövborgowi, byleby nie współubiegał się z nim o posadę. Kocha wszystkie ciotki, co to przypominają zasuszone na pamiątkę kwiaty. Szaleje z radości, że Hedda może zostanie matką. Wciąż mówi o niej i o sobie razem: my, ma się wraz z nią za jedną duszę w dwóch ciałach, nie podejrzewa nawet, że mogą istnieć indywidualne gusta i zachcianki. Poczciwy, tępy, ograniczony, głupowaty, z krasnemi jagodami i zawsze pliką szpargałów w kieszeni. Trudno o portret lepszy i bogatszy

w ekspresyę i — ironię. Zdawałoby się, że Ibsen wlał weń cały swój wstręt dla filistrów i płaskiej, kreciej uczoności.

Podobnież wlewa on spokojną swą, jadowitą satyrę na filisterstwo moralne u Bracka. To człek porządny całą gębą, dobrze wychowany, układny, wyrobiony w świecie, ale gdy usłyszał wystrzał, dusza mu w piętę poszła; lubi zazwyczaj drożynki kręte, zamiast traktu otwartego, i niemi wślizgnąć się do serca Heddy.

Cały Ibsen, ów bicz Boży małości, zaklęty w pozór przedmiotowego obserwatora, tkwi w owym przepisie dla aktorów, zawierającym jego charakterystykę sceniczną:

„Dobrze zbudowany, ruchy elastyczne, twarz okrągława i profil szlachetny". To cudowne! Takie łagodne odmiany pana prezydenta Grandmorina w *La bête humaine* miewają zwykle dużo elegancyi, lekki brzuszek i... szlachetny, szacunek wzbudzający, profil.

Trudno wymierzyć społeczeństwu policzek boleśniejszy od tego skromnego, niepozornego nawiasu.

Nad techniką rozwodzić się nie będziemy; obfituje ona w sytuacye pyszne, obfituje i w naciągane, ale jakkolwiekbądź, uwagę widza i wszystkie jego uczucia trzyma chyba w napięciu. A pamiętajmy przytem, że Hedda Gabler należy do cyklu dramatów nie na żarty, że w niej i smutek i gorycz z założenia etycznego tryskają. Szekspir był i jest artystą niedoścignionym, ale tak nieczułym dla spraw moralnych, jak jego żelaznie-nieugięta psychologia, która z danego charakteru wysnuwa kiełkujące w nim tragizmy zasłużone czy nie, sprawiedliwe, czy nie. Jego naśladowca: Maeterlinck wygnał do reszty morał z dramatu, uwypuklając zbrodnię z przerażającym chłodem kata, który spełnia swą egzekucyę.

Ibsen zaś jest poetą idei a jego utwory targają nam nasze popędy i zadawnione nałogi moralne, galwanizują je.

Zawdzięczamy mu nie jeden rozkoszny widok zwycięstwa moralnego, niejedno zawstydzenie, które w nas wsącza, niejeden obraz potężnych szamotań maluczkiego ducha ludzkiego, nie jeden uśmiech szkodnika na podpatrzoną dokoła nas infamię, mimo że obracamy się w kole ludzi żywych, naszych znajomych, śród tak zwanej inteligencyi mieszczańskiej, którą z łaski Ibsena przenikamy do szpiku kości.

Cezary Jellenta.

CÓRKA LEŚNEGO.

SZKIC POWIEŚCIOWY

przez

WISŁAWA.

(Dokończenie).

Na podwórku było istotnie wesoło. Drób garnął się do stodoły, gdzie najemnik zboże wymłacał — z piskiem i hałasem. Wróble, potrzyszcze i dzierlatki, zdzióbywały ziarnka rozsypane, a czarna wrona to podskakując na jednej nodze, to drepcąc, to znowu krocząc poważnie, trzymała niejako straż nad nimi.

Stara, baczniej spojrzała na córkę, a pogłaskawszy ją po twarzy, w przekonaniu, że dziewczyna ma coś na sercu — wróciła pod piec — gdzie „takoj" było przyjemniej. Warwarka, ośmielona tem obejściem, przysunęła się bliżej — aż niemal przytuliła twarz do szyby — lecz bynajmniej nie śledziła walki koguta z zielonym kaczorem, który bronił się zażarcie. Wzrok jej pobiegł nad młode dęby, nad sosenki, sady, topole — aż ku cerkiewce — do szkoły! i zadumała się głęboko.

Już dwa miesiące upływa, jak schwyciła złodzieja w lesie. Onaż złapała? Nie. Ją to schwytano w kleszcze silne — by z żelaza kowane. Złapano serce jej młode, które odtąd trzepocze się i trzepocze, jak ptaszek w sidłach włósiennych. Kiedy była dziewczynką małą, zawsze wypuszczała takie ptaszki ojcu na psotę.

— Kto teraz serce jej uwolni? Kto wyswobodzi z tęsknoty i smutku serdecznego? — O! bo żal jej okrutny! Żal i wstyd, że przed ojcem swym, dobrym, rodzonym, dotąd o złodzieju nie wspomniała, choć ten nawet nieczystej sile przypisuje ówczesne drzew psowanie!

Nazajutrz po przygodzie Matrony, nauczyciel przyszedł ich odwiedzić. Był grzeczny i uprzejmy, a jej serce się ściskało, oczy mgłą zachodziły... Przykro jej było mącić mu radość świąteczną, a truchlała o drzewa swoje, o ulubieńce.

— Powiedzieć — nie powiedzieć? ciągle szumiało jej w głowie, by wicher przy drzew rozwiciu. Nareszcie zdobyła się na odwagę.

Gdy odchodził, podprowadziła go kawałek pod pozorem zatrzymania Łoskota i raptem rzekła:

— Panie! — lecz zadławiło ją coś w gardle, więc musiała powtórzyć: Panie, ojczym wasz niedobry człowiek — pilnujcie go!

Przelękła się. Głos jej brzmiał tak ostro, jakby wychodził z innych piersi. Co jej się stało? Odetchnęła głęboko, i dodała łagodniej: Piłował nam drzewo w lesie; jak ojciec go złapie — źle będzie!"

Nauczyciel zaczerwienił się, by mak polny, potem zbladł jak chusta.

— Złapałaś go? — spytał, za rękę ją ująwszy.

— Tak — szepnęła w pomieszaniu.

— Jakaś ty dobra Warciu! Jakaś ty dobra! — zawołał, spojrzawszy na nią ślicznemi niebieskiemi oczami. — Co to za ciężki wstyd dla mnie!

— Ja nikomu nie powiem — rzekła na uspokojenie — ale pilnujcie go! — i umknęła.

Odtąd ją biedną schwytano już w sidła. W sidła twarde i nierozerwane. O niczem już nie myśli, tylko o tych oczach niebieskich, o tym głosie smutnym, tak za serce chwytającym, o tej postaci miłej. A do czego to? po co? — Czy on jej do pary? Choć ojczym jego drzewo z lasu wykrada, on zawsze „pan" — nauczyciel — uczony — a ona zaledwie czytać umie.

Znachorki wiejskie świętą prawdę mówiły, że przyjdzie na nią godzina. — Przyszła już. Ale czy szczęścia? Czy nie smutku wiecznego?

VIII.

Zwyczaj rozdzielania pisanek wprawił w ruch młodzież z całej Złotej woli. Wszystkie dziewczęta obładowane farbowanemi jajami spieszyły na nieszpory.

Z daleka już słychać było głos dzwonów, poruszanych od południa przez wyrostków różnego wieku.

Nabożeństwo się jeszcze nie zaczęło. Jegomość podobno drzemał na plebanii, czy też oglądał ule w sadzie. — Dziaczek zapijał wódkę na miodzie przypalaną u przyjaciela, a słońce świeciło tak jasno, przejrzyście, że mimowolna zbierała ochota lepiej mu się przypatrzeć.

— Chrystos woskres! — zagadnęła wójcicha — trzymająca pełną chustkę jaj farbowanych w ręku, dla córki.

— Wo istyn woskres — odpowiadały inne.

— Słyszeliście nowinę?

— Gdzie? — jaką? — spytano ciekawie, obstępując ją do koła.

— Może to bajka jeszcze — odparła, obejrzawszy się po za siebie.

— A no?

— Widział kto Warwarkę z „nad debry"? — zaczęła.

— Nie — nie ma jej.

— Jużci, powiadają, że zaswatana.

— O! O! O! — wykrzyknęły wszystkie chórem w najwyższem zdumieniu.

— Czyście kładli pisanki w tarninę? — wtrąciła Kasia Fediowa.

— A jakże — „wpered“ kładłam w brezelię, potem w tarki.

— Nie wiecie kto bierze Warwarkę? — spytała sołtysowa obojętnie.

— Kiedy wam mówię, że boję się pleść bajki.

— E! — i czemu? Bajki każdy rad słucha — dorzucił ktoś dowcipnie.

— Mówili tak i na pannę Helunię — ciągnęła przebiegła dyplomatka, chcąc pobudzić ogólną ciekawość. „Wydaje się“, „wydaje“, do miasta jedzie, uczyć się krajać suknie pańskie.

— No, tam się wyda.

— Pewnie — ładna panienka.

— Powiedzcież raz już, co wiecie o Warwarce — wtrąciła młynarka niecierpliwie — nie ciągcie długo.

— Kiedy bo....

— Co tu gadać! — zawołał z boku głos nowy, i pani ekonomowa ukazała się w całej pełni swej tuszy. Basieńka moja idzie za mąż, za profesora — niema się tu czemu dziwić. Dziewczyna jak malowanie. Niespodziewana wiadomość wywołała wrażenie piorunujące.

W tym samym czasie, wąską leśną dróżyną postępowało dwóch mężczyzn. Jeden znany nam Jan Kalita w szarem ubraniu, drugi przyjaciel jego, pisarz sądowy z miasteczka, wyświeżony, niby lew z bulwarów stołecznych.

Słońce skłania się ku zachodowi. Purpurowe jego blaski rozlewają się po górach i szczytach drzew niebotycznych, które od dołu szary mrok zwolna spowija. W krzakach bezlistnych odzywają się kosy czystym pogwizdem. Mgły lekkie wznoszą się po nad rzeką, a w powietrzu rozchodzi się woń słodka upajająca, wiosenna!

— Milczysz Władku? — spytał wreszcie przodem idący Kalita.

— Przetrawiam doznane wrażenia — odparł tenże, strzepując popiół z papierosa. — Podziwiam cię! — Jesteś istnym apostołem postępu, pionierem cywilizacyi!

— Żartujesz chyba?

— Boże uchowaj! — Teoryę w czyn zamieniasz, acz śliczna Basia wielce ułatwia ai zadanie! Bo co to za wdzięk uroczy, co za prostota! a przytem kilkaset guldenów na początek i inwentarz — rzecz nie do odrzucenia.

— Zapewne. Przyznaję, że podobne małżeństwa były moim ideałem. Widząc u Rolka, ożenionego z kawiarką miejską — nędzę okropną, u innych zbytki i próżność — wspomniałem raz o tem na prywatnem zgromadzeniu. Okoliczności pozwoliły mi dać z siebie przykład.

— Bożek Eros — czy jak tam zowią tego trzpiota, naciągnął łuk i... rzecz dokonana. — Jest to bardzo szlachetne dziewczę.

— Wierzę — odparł przyjaciel, zamyślając się trochę. Postąpiłeś jak bohater! — boję się jednak, czy cię to trochę nie zdyskredytuje w oczach zwierzchności.

— Cóż ją obchodzą moje prywatne sprawy?

— To względne, bo i te zależą od jakości; gmina może cię lekceważyć, jako jednego ze swoich, a nie swego!

— Tego się bynajmniej nie lękam. — Przeciwnie. Jako jednego ze swoich, obdarzy mnie większem zaufaniem i szacunkiem. Przekona się wówczas, że oświata to nie ciężki przymus ani podatek na nich nałożony, lecz dar cenny, światło dobroczynne, rozjaśniające ciężkie drogi żywota. Zawsze byłem tego zdania, że gdyby wykształcony nauczyciel z ludem się zespolił....

— Bój się Boga! — przerwał znowu przyjaciel — przecie nie każdy może się żenić z wiejską dziewczyną!

— Nie mam tu jedynie małżeństw na myśli — odparł Kalita, lecz zespolenie duchowe, które wiele korzyści przynieść może, bo chłopów umoralnić i wykształcić.

Z nad debry widać rozkwitłe mleczne sady, różowe jabłonie, i zieleniejącą ruń żyta, gdzie już chowają się zajączki młode, dalej szmaragdowe łąki, z pomiędzy których tu i owdzie niby plamki srebrzyste, zabłyśnie cienka smuga wioskowej rzeki. W debrze samej kwitnie moc jarzębiny i czeremchy. Ciemna, spróchniała ziemia pokryła się kapustą zajeczą, kopytnikiem, powojem, i przystroiła liliowemi dzwonkami, barwinkiem i spóźnionym, wiotkim hyacyntem. Pięknie jest i wesoło, ale niema najpiękniejszej miejsc tych ozdoby, stróżki ich, opiekunki, bogini — ślicznej Warwary. Mieszka ona teraz w budynku szkolnym z ukochanym Jasieczkiem i synkiem Stefkiem. Kilka lat już tam gospodaruje tak ładnie i składnie, jakby się do tego od dzieciństwa przysposabiała.

Miłość serdeczna złączyła te dwa serca na zawsze.

MUZYCY i SZKOŁY MUZYCZNE.

I.

Lwów.

Mając zamiar mówić o naszych szkołach muzycznych,— nie wahamy się, od której rozpocząć. Wziąwszy bowiem za punkt wyjścia instrument, zawsze jeszcze najpotężniej wśród ogółu panujący — fortepian, zmuszeni wprost jesteśmy zacząć od szkoły, noszącej firmę najpoważniejszego pianisty, jaki we Lwowie w ciągu kilkudziesięciu lat pierwsze miejsce zajmował i do dziś dnia, mimo wieku swego i usunięcia się zupełnego od występów publicznych, ciągle zajmuje. Nie ubliżamy tem żadnej ze szkół, ani żadnemu z kierowników, gdyż Karol Mikuli, — a o nim to oczywiście mówimy, — jest seniorem tutejszego świata artystycznego i gdyby ktoś podniósł jakiekolwiek zarzuty z punktu widzenia artystycznego, to jeszcze zawsze „z wieku mu i urzędu to miejsce należy“, bo nikt, ani tyloma latami pracy, ani taką prowenjencyą arsystyczną pochlubić się nie może, — wszakże jest on jednym z niewielkiej liczby żyjących uczni mistrza Chopina, a we Lwowie i dla społeczeństwa tutejszego trzydzieści kilka lat pracuje. Jest to też i indywidualność artystyczna niezwykła. Można niezgadzać się z jego poglądami poszczególnemi, można mu czynić zarzuty słuszne czy niesłuszne, jedną rzecz każdy musi mu przyznać: żył zawsze dla sztuki, oddany jej całą duszą. Ona zawsze była ostatecznym jego celem, wszystko, cokolwiek czynił, a nawet to, co w oczach nieprzychylnych mu, na naganę zasługiwało, wszystko to wypływało zawsze z poglądów jego i przekonań o sztuce, których zwykle trzymał się z całą nieugiętością człowieka, wierzącego silnie w przyświecający mu ideał. Nie mamy wcale zamiaru kreślić studyum, którego przedmiotem miałaby być działalność Mikulego w ciągu lat kilkudziesięciu, nie mamy też zamiaru odmalowania jego osobistości — jednakże, dla dania obrazu szkoły jego i znaczenia, jakie ona miała i ma we Lwowie, zwrócić musimy uwagę na dwa punkty ważne, mianowicie na stosunek jego do Chopina, to jest na ową spuściznę duchową, jaką po mistrzu swym odziedziczył, z drugiej zaś strony na stosunek jego do całego naszego światka muzycznego, pod którym rozumiemy nietylko młodzież uczącą się, ale także tych, co ją uczą i wreszcie publiczność najbliżej tem interesowaną.

Chopin jest dla Mikulego zawsze szczytem wszelkiej piękności w muzyce, osoba mistrza i jego nauka najmilszem i najświętszem wspomnieniem. Wzruszająca to rzecz w isto-

cie słyszeć Mikulego mówiącego o Chopinie. Jakkolwiek poznał go w czasach, kiedy był najmniej przystępny, bo już dotknięty cierpieniami fizycznemi i wskutek tego drażliwy w wysokim stopniu; zawsze zapałał ku Chopinowi tą miłością i uwielbieniem, którą wszyscy uczniowie bez wyjątku przejęci byli. W ciągu półwiekowej prawie przestrzeni czasu, jaka od owych chwil upłynęła, — mimo zmian wielu, jakie w sztuce zaszły, Mikuli pozostał wierny swojemu ideałowi, przywiązanym jednakowo do owego świata, otworzonego mu przez największego romantyka pianistów. Takim romantykiem pozostał podobnie i Mikuli do dziśdnia, a jakkolwiek grę jego oceniać możemy tylko ze wspomnień, to nadto widzimy go takim jeszcze w jego zasadach kultywowanych wśród uczniów i w całym duchu szkoły przez niego prowadzonej.

Gra Mikulego nie była tem, co dziś słyszymy z pod palców gwałtownego Rubinsteina, nie iskrzyła się różnobarwnością takiego Paderewskiego, ale była to, jak Ujejski o niej powiada „koronka pereł“, a może „tkanka z listków różanych“, lub coś podobnego w smaku dawniejszego romantyzmu, a nie wedle pojęć dzisiejszego czasu, dzisiejszej muzyki. Słodycz, miękkość, uczuciowość, były jej charakterem— z tym jednakże dodatkiem ważnym, że ponieważ podstawą jej były prawdziwie artystyczne zasady i klasyczne wykształcenie, przeto oczywiście nie był to wytwór słabego tylko sentymentalizmu, ale produkt dojrzały pojęć pewnej epoki. Ten sposób grania przeniósł się na uczniów Mikulego, a względnie już nauczycieli i na całą wreszcie szkołę. Wszystko zaś to, co prowadzi do wyrobienia techniki w tym duchu i to, co nadaje kierunek wykształceniu całemu, jest oczywiście konsekwentnie w szkole przestrzegane. Tak w układzie ręki, jak łokcia, tak w palcowaniu, w systemie ćwiczeń i rozwijaniu biegłości, jak i w ogóle w całej nauce, aż do wyboru materyału studyów i gry — we wszystkiem spotykamy się ze znanemi zasadami Chopina.

Tak zwana „souplesse“ ręki, t. j. jej lekkość i podatność, jest tu pierwszym warunkiem; uzyskanie idalenego legata i spokoju—pierwszym celem nauki. Gładkość gry, jej jasność i perlistość, stanowią tutaj ideał gry.

Samo więc założenie jest odmienne od tego, jakie dzisiejsi wielcy wirtuozi stawiają. Gdybyśmy chcieli nad tem się zastanowić, który z tych dwóch kierunków artystycznie jest wyższym, wstąpilibyśmy na pole rozprawy estetycznej,—pole bardzo szerokie. Tego jednak na myśli nie mamy, zaznaczamy więc tylko jako rzecz pozytywną, że rodzaj gry kultywowany przez Mikulego i jego szkołę nie jest wyrazem sztuki dzisiejszej. Że jednak w sztuce każdej epoki, zawsze odnaleźć należy ziarno niespożyte i odróżnić je od powłoki, będącej zwyczajnie hołdem składanym chwili, przeto i tu wypada nam ziarno to właśnie w należytem świetle postawić.

W czasach, gdy Mikuli przybył do Lwowa, panował wszechwładnie u nas więcej niż gdzieindziej system gry powierzchownej, błyskotliwej, płytkiej, niedokładnej, mimo kilku ludzi o zasłużonych imionach, którzy jednak przeciw duchowi czasu dość silnie nie umieli działać. Wszak były to czasy, kiedy echa Thalbergów, Döhlerów, Meyerów i t. d., rozbrzmiewały po całej Europie, a zwłaszcza jej krańcach. Otóż dopiero z przybyciem Mikulego wstąpił inny żywioł w tutejszy świat muzykalny. On głównie dał poznać Chopina, Schumana i Mendelsohna; on w grę i w pojęcie jej zaszczepił pierwiastek głębszy, poważniejszy; on swoją drobiazgową dokładnością nadał wszelkim studyom w muzyce zwłaszcza fortepianowej, kierunek bardziej artystyczny; on do gry wprowadził pewną poezyę, jaka wówczas jeszcze była u nas zjawiskiem nowem wśród atmosfery klasycyzmu panującej między amatorami lepszej muzyki, a wśród ogółu rzeczą zupełnie obcą.

To przywiózł Mikuli z zagranicy od Chopina i to nam oddał. Te właśnie intencye jego szlachetne, ten poważny na sztukę pogląd, ten pietyzm dla niej to wszystko uważamy za owe ziarno, które przy wszelkiej zmianie smaku i nawet przy możliwym postępie systemu naukowego, zawsze pozostanie prawdą i podstawą.

O ile Lwów jeszcze do dzisiejszego dnia żyje tym zasobem otrzymanym od Mikulego, mimo, że on działalność swoją znacznie skoncentrował w jeden tylko punkt, o tem ogólnie mało się wie i mówi. A jednak tak jest.

Przedewszystkiem cała plejada tutejszych nauczycieli i nauczycielek zawdzięcza przeważnie wykształcenie swe Mikulemu, bezpośrednio lub pośrednio. Nawiasowo wspominając tylko o tem, że zamiast dawnych Niemców i Czechów, są to już wszystko Polacy, a w każdym razie tutejsi — lwowianie, nie możemy im odmówić uznania i nie przyznać, że wielu pracuje sumiennie i z bardzo pięknymi rezultatami. Najwybitniejszym z uczni Mikulego jest: Ludwik Marek, który wprawdzie uczył się następnie u Liszta i Bülowa, jednakże pierwsze swe wykształcenie Mikulemu zawdzięcza. Jest on dziś kierownikiem szkoły muzycznej, (poświęcimy jej później więcej słów) bardzo tu popularnej; dalej wyłącznie uczniów Mikulego posiada konserwatoryum we wszystkich klasach fortepianowych, wreszcie inne szkoły mniejszych rozmiarów. Oprócz tych, mamy z jego ręki wielu nauczycieli prywatnych.

St. Niewiadomski.

NOWE PASTELE

przez

PAWŁA BOURGET'A.

I. Święty.

(Ciąg dalszy).

Kto raz tylko, z jakiegokolwiek tytułu wejdzie na pole publicznego życia, ten rozumie całą istotną wartość tych komplementów; taką jest jednak dziecinna próżność literatów, że się dają zawsze ująć pięknemi słówkami. Temu pociągowi i tym razem uległem. Ja com przysięgał, że nie zatrę sobie wrażenia pobytu w ukochanej mej, ponurej Pizie żadnemi próżniaczemi gadaninami, ani nowemi znajomościami, w dziesięć minut później przechadzałem się z młodym człowiekiem wzdłuż grobli, w półgodziny błądziłem z nim pod sklepieniami Campo Santo, a o pierwszej godzinie miałem w nim towarzysza wycieczki do klasztoru, i wsiadaliśmy razem do jednokonnej caroselli, mającej nas zawieść na Monte Chiaro.

Wszedłem z nim w tak nagłą zażyłość, nie mając nawet wymówki, jakobym chciał się zbliżyć do ładnej i naturalnej Włoszki, która z nim wczoraj obiadowała. Naturalnie pierwszym przedmiotem naszej rozmowy była ona. Dowiedziałem się, że piękna nieznajoma, o tak wyrazistych rysach, tak namiętnej bladości, i nieco gminnych ruchach, była aktorką z wędrownej trupy bawiącej obecnie we Florencyi, że musiała odjechać tam dziś zrana, aby wieczorem wystąpić na scenie, i że on nie mógł za nią podążyć; nie przytoczył mi wprawdzie powodu, lecz nie trudno go było odgadnąć, poznawszy historyę jego życia, którą mi natychmiast opowiedział.

Nowy znajomy zainteresował mnie żywo, jako ostro zarysowany typ młodzieńca pewnej klasy, którą, jak mi się zdawało, doskonale zbadałem. Ale snadź nie można nigdy dostatecznie poznać przedstawicieli przyszłego pokolenia, a chcąc im przyjść z pomocą, co uważam za obowiązek, nas ludzi piszących, trzeba z nimi wiele obcować. — Niestety! nie tego rodzaju wrażeń przybyłem szukać nad brzegami modrego, melancholicznego Arno. Miałżem odnaleść tu to, co mi było tak niemiłem w Paryżu?

Nigdyż moja ciekawość zbadania duszy ludzkiej nie przestanie mi burzyć najpiękniejszych planów idealnego istnienia wśród nagromadzonych dzieł sztuki?

Młody człowiek nosił niezbyt arystokratyczne miano, Filipa Dubois, był czwartym synem członka uniwersytetu dość wysoko położonego, lecz niezamożnego.

Ukończywszy świetnie nauki w swojem prowincyonalnem liceum, przybył do Paryża ze stopniem licencyata i stał się członkiem bursy. Po odbyciu egzaminów, otrzymał, za protekcyą przyjaciół swego ojca, misyę archeologiczną do Włoch. Misya ta była obecnie ukończoną, i młodzian powracał do Francyi. Żyjąc sam niegdyś w podobnem otoczeniu, zdałem sobie natychmiast sprawę z uciążliwych warunków, w jakich przeszła młodość Filipa Dubois. — Musiał mieć teraz zaledwie tyle grosza, ile go trzeba było na koszta powrotu. Dlatego też aktorka odjechała sama, a on nie mógł za nią podążyć. Zestawiając całość tych zwierzeń, zmuszony jestem raz jeszcze stwierdzić nicość faktów zewnętrznych wobec tego, co dusza nasza odczuwa w swej głębi. Na pozór cała przygoda miała charakter ładnej sentymentalnej idylli. Ten młody uczony, oczarowany światem starożytnym i wszystkiemi jego pięknościami w zetknięciu z namiętną artystką, dziewczyną dobrą i bezinteresowną. Trzeba się jednak było im rozstać; przecierpiawszy, udali się każde w swoją stronę. Cała w tem romantyczność kaprysu, cała poezya, nieprawdaż? Odrazu dostrzegłem, że Filip Dubois nie doznaje bynajmniej smutku ani wzruszenia, jakieby powinien odczuwać w swojem położeniu. Nie było najmniejszego odcienia tkliwości w sposobie, w jaki wtajemniczył mnie w swoją romantyczną przygodę. Przebijało się w nim tylko chełpliwe zadowolenie, iż był kochanym przez kobietę, jak się później dowiedziałem, dość w swoim świecie znaną.

Lecz cóż z tego? Gdyby był naiwnym kochankiem, jakimby być powinien, nie zająłby nigdy mojej uwagi w tym stopniu, jak wówczas gdy się dowiedziałem, że cała ta pracowita studencka młodość, była dlań tylko decorum, a misłotka owa — nic nie znaczącym przypadkiem. Najistotniejszem tłem charakteru tego młodego chłopca, była ambicya literacka, jedna z najgwałtowniejszych, jaką kiedykolwiek spotkałem, choć dosyć już w życiu znałem początkujących pisarzy. Ambicya tem silniejsza, że duma, połączona z pewnego rodzaju nieśmiałością nie pozwoliła mu właściwie dotąd debiutować na arenie literackiej. W ciągu 4-ch do 5-ciu lat spędzonych na suchej nauce, po opuszczeniu liceum, pielęgnował on w sobie t. zw. potwora literackiego z całem naiwnem okrucieństwem, właściwem tej chorobie. Łączyły się w nim wyraźnie dwie odmienne osoby, jedna: oficyalny i uległy syn członka uniwersytetu na misyi naukowej, druga: nieznany romansopisarz i poeta, z całą zaciętą drażliwością tłumionego powołania.

Dwoistość ta zdradzała duszę samodzielną, naturę wyższą giętkością swą i siłą panowania nad sobą. Lecz cierpkość jego istoty odsłaniała charakter niezdolny do miłości, marzący jedynie o zdobyciu sławy i pieniędzy w karyerze pisarskiej. „Rozumiesz pan“ mówił do mnie opisawszy mi kilka scen ze stosunku swego z aktorką, w których odgrywał, naturalnie, rolę donjuana, „rozumiesz pan, że nie uroniłem żadnego wrażenia, mam już na ukończeniu cały tomik wierszy, które Panu pokażę.

O! mam już dosyć tych etruskich grobowców, tych napisów greckich, całej tej pedantycznej pracy, na którą zgodziłem się jedynie dla chleba. — Jak tylko zostanę doktorem, rzucam to wszystko i zacznę debiutować. Mam już w głowie całą seryę artykułów; niejednokrotnie posyłałem już prace do dzienników, podpisywane pseudonymem, lecz dotąd nie drukowano ich; pewnie zazdrośnicy oceniają je.“

„Trzeba usprawiedliwić nieszczęśliwych naczelnych redaktorow, że nie mają czasu przeglądać wszystkiego osobiście“ — odpowiedziałem. „Mają dawne zobowiązania, zresztą trzeba się liczyć z przyjętemi pozycyami, znanymi talentami itd.“ „Pomówmy o nich — zawołał, śmiejąc się gorzkim śmiechem, zdradzającym głuche rozdraźnienie nieznanego pisarza, zatrutego jadem zazdrości, zanim miał sposobność zmierzyć się ze swymi współzawodnikami. (C. d. n.).

TEATR.

I.

Wcześniej, niż lat ubiegłych, bo już 15 sierpnia otworzyły się podwoje naszego teatru, dla rozpoczęcia jesiennego sezonu, a właściwiej, półsezonu. Do końca września dyrekcja zazwyczaj wznawia stare, ale jare sztuki lub powtarza te, które w ubiegłym sezonie cieszyły większem uznaniem publiczności. Czas to również występów gościnnych, debiutów, przygotowań do pełnego rynsztunku, z jakim tradycyjnie występuje scena krakowska w początkach października.

Gdym 15 z. m. przybył, po letniej kanikule, do sali teatralnej, uderzyła mnie przedewszystkiem mała nowość zewnętrzna. Do wielu głośnych nazwisk, wyrytych na lożach parterowych i pierwszego piętra — przybyło jedno świeże, w każdym razie komedji polskiej zasłużone: Jan hr. Fredro, syn. To nadgrobek teatru dla autora. Tyle na zewnątrz. A wewnątrz jakie zmiany? I tutaj są już pewne, acz niewielkie, a ponoś mają być znaczniejsze. P. Antoni Siemaszko, po krótkiej banicji, powraca do nas, jak zawsze bardzo pożądany. Brak tej siły komicznej byłby na razie nader trudnym do wypełnienia. P. Ziembińska, która dobre po sobie zostawiła imię w teatrze, została ponownie zaangażowaną, co ze strony dyrekcyi było krokiem rozumnym. To starzy znajomi. Z nowych zapowiadają przybycie panny Wandy Trapszówney, dotąd artystki scen prowincyonalnych, w ostatnim zaś tygodniu mieliśmy sposobność poznania młodej debiutantki w rolach naiwnych: panny St. Dzirytówney, o której talencie doszły nas ze Lwowa najpochlebniejsze wieści.

Wiadomo, że obsada ról naiwnych należy od dłuższego czasu do najsłabszych stron obecnego kierownictwa, a pośrednio i przedsiębiorstwa. Istna pięta Achillesowa teatru. Kandydatek za to do „robienia naiwności“ możemy co roku tuziny naliczyć.

Młode i nawet zębem czasu draśnięte aspirantki gwałtownie chwytają się roli niewiniątka np. w „Broni niewieściej“ Benedixa. Po większej części kończy się na debiucie i „niewinność“ spoczywa na... niewielkich laurach.

W ubiegłym sezonie nader korzystnie wyróżniła się z pośród wielu kandydatek do ról podobnych — panna Flach Ortyńska, obecnie zaś miło nam zanotować objawy kiełkującego na serjo talentu, który przy gł bszych studjach i pod pieczołowitem kierownictwem może piękne teatrowi przynieść owoce. P. Stanisława Dzirytówna — o niej to właśnie mówimy — posiada przedewszystkiem warunki zewnętrzne: młodość, ujmującą powierzchowność, postawę, miły, acz w modulacji jeszcze niewyrobiony głos, wreszcie ruchy i ów niewysłowiony wdzięk, którym potrafi opromienić odtwarzaną postać. Czasem p. Dzirytt (Jadwiga w komedyjce „Zbudziło się w niej serce“) przeciąga nieco strunę czyli nadaje swej interpretacji podkład sztuczny, a dzieje się to wówczas, gdy młoda artystka nie potrafi należycie podkreślić różnicy pomiędzy naturalną niewinnością a budzącą się już samowiedzą instynktów kobiecych. Umiejętne strzeżenie tej granicy stanowi jednę z ważniejszych zalet „naiwnych“. Mimo to z panny Dziryt jest stanowczo materjał na dobrą artystkę, który dyrekcja nasza we własnym, dobrze zrozumianym, interesie należycie zużytkować powinna.

Cykl premjer rozpocznie nowa sztuka W. Rapackiego p. t.: „Chłopcy pana Cześnika“. Józef Bornsztein.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ.

*** *Jan Neruda.*

W Pradze zmarł przed kilku dniami jeden z najcelniejszych poetów i nowelistów czeskich: Jan Neruda. Niektóre dzienniki czeskie wyszły z tego powodu w żałobnej obwódce, a niemal wszystkie poświęcają pamięci zmarłego naczelne artykuły. Jan Neruda urodził się 10 lipca 1834 r. w Pradze na małem mieście, tj. w tej części stolicy kraju, która jest rdzennie czeską i gdzie przez długie lata pielęgnowano prawdziwy czeski obyczaj. Neruda po mistrzowsku odmalował życie rodaków, w swoich „Malostranskich powidkach", zbiorku nowel, tłómaczonych prawie na wszystkie języki europejskie. Jego poezye nadały literaturze czeskiej nowy kierunek. Są to istne perły w skarbcu poezyi narodowej. Pierwszy tomik „Hrzbitovni kwiti" (Cmentarne kwiaty) i następne „Knihy verszu" oraz „Balady a romanci" odrazu zjednały Nerudzie rozgłos i zapewniły pierwszorzędne wśród pisarzy stanowisko.

Z Halkiem. autorem poematu „Alfred" wydawał zmarły almanach „Maja", w którym drukował wiele własnych utworów. Z innych prac Nerudy zasługują na szczególną uwagę komedye: „Żenich z hladu" (Narzeczony z głodu) „Prodana Laska" (Sprzedana miłość), dalej opisy podróży po Francyi, Turcyi, Syryi, Palestynie i Egipcie.

W ostatnich latach pisywał Neruda barwne fejletony do „Narodnich Listów", gdzie często spotykaliśmy się z sympatycznemi wzmiankami o Polsce i Polakach.

Życie poety nie było usłane różami. Długo stąpał po cierniach i głogach, długo walczył o byt, opuszczony, samotny. Umarł, otoczony aureolą wieszcza, któremu dziś masy wieniec nieśmiertelny wiją.

* * *

*** *Arsène Houssaye* urodził się w pierwszych latach b. stulecia i od dzieciństwa żył wśród ludzi, którzy pierwszorzędne role w społeczeństwie francuskiem odegrali. Sam zdolny poeta, ulubieniec kolejny dworów Ludwika Filipa i Napoleona III, dyrektor długoletni teatru Comedie-française, wielbiciel opiewający wdzięki wszystkich kobiet nieco na widownię wysuniętych, obecnie żyjąc wspomnieniami świetnej i długoletniej swej karyery, zebrał je i wydał pod tyt.: „Les Confessions". Jakkolwiek lista utworów pióra Arsena Houssaye jest długa i jakkolwiek liczba zwolenników, a zwłaszcza zwolenniczek jego talentu autorskiego jest wielka, przypuszczać jednak dziś już można, że jedynie „Les confessions" zapewniają temu autorowi trwalszą pośmiertną sławę. Objęte w sześciu tomach „Les Confessions" są zbiorem anegdotek i obrazków charakteryzujących ludzi i epokę, wśród których autor żył i które to dziś postarał się odzwierciedlić. Dla przyszłych pokoleń „Les Confessions" stanowić będą skarbnicę wiadomości, równie ponętną i ciekawą, jak „Dziennik braci de Goncourt". „Les Confessions" Arsèna Houssaye, różnią się w wielu razach co do poglądów, lecz wybornie dopełniają się, traktując o tej samej epoce i mniej więcej o tych samych osobistościach. Obadwa te utwory stanowią historyę anegdotyczną XIX stulecia, rzeźbioną misternie przez braci de Goncourt, a pochwyconą pastelami przez Arsèna Houssaye.

* * *

*** *Co będzie po śmierci?* (Après la mort par Léon Denis), Na to ciekawe pytanie odpowiada p. Leon Denis, jeden z „filarów" spirytystów, cieszący się w kołach specjalistów wielkiem uznaniem. Według Denisa „stara wiara" nie zadawalnia dzisiejszych potrzeb umysłowych.

Duch człowieka — powiada Denis — istnieje po śmierci, a na podstawie notatek łaskawie autorowi przez duchy nadziemskie udzielonych, stara się on wiele sensacyjnych szczegółów przekazać czytelnikowi. I tak, wedle Denisa, prawdziwą jest wiara w niebo i piekło, które istnieją na ziemi, gdzie duchy obleczone w ciało z eteru na równi z nami żyją. Zasady socyalistów o równości i braterstwie ludzi nie popłacają wcale na „tamtym" świecie, gdyż „duchy" dzielą się na klasy, poczynając od najniższych, do których p. Denis zalicza duchy ciemne aż do najwyższych, sięgających tronu Boga. Duch doskonały, zdaniem p. D., świeci blaskiem niezrównanym, olśniewającym widza.

Spirytyzm p. Denisa jest fantazją, opartą na bardzo chwiejnych podstawach naukowych. Bądź co bądź książka ta jest ciekawym i charakterystycznym objawem „fin de siecl'u".

MISCELANEA.

*** Nakładem P. Reissa w Wormsie wychodzi doskonałe studjum: Dra W. Wetza, docenta Uniwersytetu strasburskiego p. t.: „Szekspir ze stanowiska porównawczej historji literatury". Pierwszy tom zawiera krytyczne oświetlenie osób, występujących w dramatach twórcy „Hamleta".

*** Dużo komentarzy wywołała przedmowa hr. L. Tołstoja, autora „Kreuzerowskiej Sonaty", napisana do książki przyjaciela — lekarza, dra Aleksiejewa. W przedmowie tej pt.: „Dlaczego się ludzie odurzają?" występuje Tołstoj gwałtownie przeciw używaniu spirytualiów i paleniu. Źródło tej choroby, zdaniem Tołstoja, tkwi w pożądaniu ukrycia lub przytłumienia dobrych instynktów człowieka.

*** Nakładem F. P. Lehmana w Berlinie ukazał się świeżo romans Dohma pt.: „Plein air".

*** Dr. Albert Weiss, tłómacz wielu rzeczy polskich na język niemiecki, przełożył cykl poezyj Czesława Jankowskiego „Capriccio". Przekład rusiński nowel Sewera (Maciejowskiego) „Dla świętej ziemi" dokonany przez p. Kirczowa, ukazał się we Lwowie, jako odbitka z „Narodnej Czasopysi".

*** W ostatnim zeszycie berlińskiego czasopisma „Das Magazin für Literatur" znajdujemy ciekawe z wielu względów studjum p. Leona Berga pt.: „Choroby modnej poezji". Autor zastanawia nad współczesnymi kierunkami w dziedzinie poezji, tj. nad symbolizmem, dekadentyzmem i wypowiada wogóle nader oryginalne zdania o twórczości takich mistrzów, jak Goethe, Zola, Ibsen, Hebbel. P. Berg twierdzi np. paradoksalnie, iż motywem tworzenia u większej części autorów jest... choroba. Goethe, Szekspir, Dostojewski należeli, według p. B., do ludzi bezsprzecznie chorych. Dalej powiada, że sztuka, jest najwyższą szkołą kłamstw. „Nigdy nie należy dopatrywać się w utworze literackim osobistych upodobań i zapatrywań autora, który pragnie czytającą publiczność utrzymać co do tego w niepewności".

*** Wydawcy: Dr. Antoni Bettelheim i L. Ehlerman (Wiedeń i Drezno) ogłaszają konkursy na napisanie życiorysów, które zamieszczone być mają w zamierzonej przez nich publikacji pt.: „Umysły przewodnie".

Nagroda pierwsza w kwocie 3.000 marek dostanie się temu, kto najlepiej odtworzy duchową postać twórcy „Fausta" we wszechstronnem oświetleniu. Wydawcy pozostawiają dowolny wybór osób kandydatom do dwóch pozostałych nagród (1500 i 1000 marek), z tem zastrzeżeniem, że prace te mają zawierać wyczerpujące życiorysy i poglądowe przedstawienia działalności takich ludzi, którzy

wywarli znaczny wpływ na ukształtowanie się i rozwój jakiejkolwiek gałęzi wiedzy podczas lub w końcu XIX. wieku.

*** Na uczczenie 25-letniego jubileuszu działalności powieścio-pisarskiej Elizy Orzeszkowej przynosi berliński „Tageblat“ w feljetonie bardzo piękny i wielce sympatyczny dla znakomitej autorki artykuł, napisany przez Dra Henryka Ruhe'go. Spotykamy tu życiorys dokładny jubilatki i ocenę najgłówniejszych jej utworów.

*** W Zagrzebiu odsłonięto przed kilku dniami pomnik zmarłego w r. 1760 poety: Andrija Kacicza. Kacicz urodził się w r. 1690 we wsi: Bryscie, tj. w chwili, gdy literatura dubrownicka zaczęła upadać, a w jej miejsce powstała nowa w północnej Dalmacji. Głośny zbiór pieśni ludowych Kacicza pt.: „Pismorica“ zjednał mu wielki rozgłos wśród mas narodu.

*** Do rzędu czasopism naukowych przybywa nowe p. t.: „Lud czeski“. Wydawnictwo to, powstające w Pradze z okazyi wystawy czeskiej, będzie poświęcone badaniu ludu czeskiego w Czechach, Morawii, Szląsku i Slawonii. Redaktorem działów: antropologicznego i archeologicznego będzie Lubor Niederle, zaś działu kultury, historyi i etnografii Cenek Zibrt. Do rzędu współpracowników zaproszeni zostali między innymi pp. Karłowicz, Stan. Ciszewski i Br. Grabowski. Projektowany układ „Ludu“ przypomina silnie „Wisłę“, na której zresztą wzorują się wszystkie tego rodzaju czasopisma, po niej zakładane.

*** Ukazał się czwarty tom „Zasad etyki“ H. Spencera, traktujący o filozofii prawa.

*** Z nowości książkowych niemieckich zasługują na uwagę: G. Dahms: „Deutsche Dichter der Gegenwart“ i „Grosspreussen oder verfehlte Neugestaltung Deutschlands“.

*** W Paryżu ukazały się nakładem Biblioteki Charpentiera i Pawła Ollendorfa następujące nowości: Théophile Gautier: „La nature chez elle“ (La ménagerie intimes) óraz Catule Mendés'a: „Pour dire devant le monde“ (Monologues et Poésies).

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

P. K. L. Autorem krytyki p. t.: „Żona artysty“ jest p. Adam Nowicki.

P. Pomorowi. Wierszy „Po burzy“ i „Cisza“ nie wydrukujemy. Forma utworów zbyt wiele jeszcze pozostawia do życzenia.

Pani Julii C. Dotąd nie powierzyliśmy jeszcze nikomu. Dowie się Sz. Pani w październiku, z chwilą otwarcia właściwego sezonu koncertowego. P. G. nie powrócił.

P. W. S. w Zak. Prosimy o ustne porozumienie się w godzinach popołudniowych

P. P. R. w Krynicy. Dziś jeszcze nie wiemy. Może za kilka miesięcy.

ROZWIĄZANIE ŁAMIGŁÓWKI

zamieszczonej w Nrze 7 „Myśli“.

1. Myśli
2. Ognik
3. Sos
4. Tułów
5. Okno
6. Wójt
7. Stos
8. Kolano
9. Islam
10. Talerz
11. Asinus
12. Dantu
13. Elekcye
14. Uchód (zamiast odwrót)
15. Saturnalia
16. Zaszczyt

TADEUSZ MOSTOWSKI.

Najlepsze rozwiązanie łamigłówki nadesłała p. Aniela Wysocka ze Szczawnicy, której przyznaliśmy też nagrodę: „Złote Myśli“ Adama Mickiewicza.

Za Komitet redakcyjny: Józef Bornsztein.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego. Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: Józef Tarczeński.